

ALEKSANDER SOWA

KOMA



WYDAWNICTWO
Sowa

KOMA

Aleksander Sowa

© Copyright by Aleksander Sowa 2013

Okładka: Maciej Krupniewski

Zdjęcie na okładce: Maciej Krupniewski

Redakcja: Łukasz Mackiewicz – eKorekta24.pl

Korekta: Sabina Sagan

ISBN: 978-83-272-4151-1

--

Aleksander Sowa | Self-Publishing

www.wydawca.net

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości bez zgody wydawcy zabronione.

Opole, grudzień 2013 r.

1.

Czarna jak smoła noc okrywa Wrocław ponurym całunem. Do podłości świtu jeszcze daleko. Jęklliwe rekwiem wiatru zamazuje dźwięki. Wycie będzie tłem niepotrzebnej śmierci. Noc i mrok są najwierniejszymi jej towarzyszami, a wiatr sprzymierzeńcem samobójców.

Osadzonemu nasuwa się myśl, że skończy w smrodzie ekskrementów. Przygotował stryczek w kiblu. Tylko tam nie sięga oko kamery monitorującej celę. Sznur z prześcieradła przywiązuje do kraty. Z pętłą na szyi, na sekundę przed śmiercią, dopada go cytat. Z jego własnej, przeklętej książki.

„Już cię zainfekowałem. Teraz nie zdołasz się ode mnie uwolnić. Będiesz do mnie powracać w nieskończoność, choćby czolgając się windą. W czolganiu się nie ustawaj!” – policjant niespełna tydzień wcześniej przeczyta na głos. Odkładając książkę, mruknie z niesmakiem:

– *Koma?* Nic specjalnego. Wielkie gówno, a nie wielka literatura.

Lektura najwyraźniej nie zrobiła na Wasylu Jagodnikowie najlepszego wrażenia. Cienka książeczka, niespełna dwieście, na pierwszy rzut oka niepozornych stron, z czarnym profilem kozła na tle okładki w kolorze zachodzącego słońca. Dla autora ono dawno już zaszło.

– Czy czytałem? – zapyta, sięgając po papierosa.

- Tak.
- A pan?

Pies zawsze będzie psem – dziennikarz uśmiecha się w milczeniu. Zadawać pytania. Odpowiadać jak najmniej, a jeśli już, to najlepiej pytaniem. Zauważył to już kiedyś, dawno rozmawiając z innym gliną. W tym reportażu widać nie będzie inaczej – myśli. Odpowiada po chwili:

– Owszem, czytałem. Nie za bardzo się jednak, że tak powiem – przerywa na chwilę – wciągnąłem w fabulę. Ale można powiedzieć, że ją przejrzałem.

– Tak też myślałem. Jak zwykle – komentuje glina nieśpiesznie. – Proszę się nie obrazić – sili się na uprzejmość – ale to wasza wspólna cecha. O wszystkim piszecie tylko po łebkach.

– To taki zawód. Musimy dostosować swój tekst do szerokiego odbiorcy.

– Wiem, rozumiem, proszę się nie obrażać. – Jagodników natychmiast się broni. – Nie o to chodzi. Zastanawiał się pan – niespodziewanie zmienia temat – jak w ogóle można napisać coś takiego? Takie gówno?

- Gówno?
- A jak to nazwać inaczej?

– Dziennikarz tym razem uśmiecha się całkiem szeroko. Już wie, że chyba polubi jednego z bohaterów reportażu, jaki właśnie zaczął. Policjant sprawia na nim dobre wrażenie.

- Tak, myślałem o tym – opowiada.

– A jest pan miłośnikiem literatury?
– To za dużo powiedziane. Sporo jednak czytam.
Chciałbym więcej. Ale wiadomo...

– Brak czasu?
– Właśnie.
– Rozumiem. – Glina, wypuszczając dym, mówi wolno. – A ja, widzi pan, nie jestem ani miłośnikiem literatury, ani nie lubię czytać. A to – żarzącą się końcówką peta wskazuje książkę – musiałem przeczytać słowo po słowie.

Na stoliku pomiędzy nimi leży paczka długich, cienkich super slimów. Absurdalny rekwizyt. Dziennikarz wolalby napisać o Radomskich albo chociaż Gaulloises'ach. Wtedy wizerunek gliny w reportażu mógłby być bliższy stereotypowi. Bliższy temu, o czym czytelnik chciałaby przeczytać. Ale prawda jest mniej ciekawa.

– Aż tak źle?
– Znacznie gorzej – odpowiada glina. – Masłowska przy tym to *Na jagody*. Szczepańska tym bardziej.

Dziennikarz rozsiada się wygodniej. Odniósł identyczne wrażenie, kiedy wziął *Komę* po raz pierwszy do ręki i przebrnął przez cztery rozdziały początku. Lecz nie chce mówić o sobie.

– A jednak to utwór wyjątkowy – zauważa.
– Chodzi panu o treść?
– Bardziej o formę – chłopak dodaje od razu. – Autor stworzył utwór jedyny w swoim rodzaju, prawda?

– Jeśli o to chodzi – zaperza się glina – już mówiłem. To zwyczajne gówno. Tanie porno. Gniot stylizowany na powieść. Chore zapiski psychologa, który za grosz nie ma dobrego smaku.

– Dla wielu to dzieło sztuki.

– Tak, on wielu na ten lep rzekomej sztuki złapał – przyznaje Jagodnikow, znów celując papierosem. – Proszę się jednak nie oszukiwać, to nie sztuka.

– A co?

– Efekciarstwo.

– Tak czy inaczej nie może pan, komisarzu, odmówić autorowi oryginalności.

– I tu się pan myli. Mogę. Wszystko mogę, bo obserwowałem tego człowieka przez kilkanaście miesięcy. Znam go dokładnie. Rozgryzłem i po pięciu latach dopadłem. Nie jest oryginalny. Nie jest niezwykły. Nie zrobił nic szczególnego. Jest taki sam jak każdy morderca. Nienormalny i zdeprawowany.

– Tak pan naprawdę uważa?

– To zwykły gnój – zacietrzewia się glina. – Pan z nim jeszcze nie rozmawiał? – Niespodziewanie znów zmienia temat.

– Mam zgodę na widzenia.

– Na Kleczkowskiej?

– Tak.

– To dobrze. Otworzą się panu oczy.

– Co pan przez to rozumie?

Glina zamyśla się chwilę, jakby szukał odpowiednich słów. Takich, które mogłyby oddać dokładnie to,

co chce przekazać. Ale one nie istnieją. Jagodników nie umiał ich nigdy znaleźć. Pewnie dlatego nie zrobił kariery w policji. A w karierze słowa pomagają czasem więcej niż czyny.

– Proszę być bardzo czujnym.

– Jest niebezpieczny?

– Nie o to chodzi. Jest niebezpieczny, to jasne, choć nic panu nie robi. Prawdopodobnie jednak, proszę się nie gniewać za to, co powiem, będzie pan dla tego człowieka tylko płotką. Przez jakiś czas – nawet atrakcyjną.

– W jakim sensie?

– Wymanewruje pana tak, jak sobie to wcześniej obmyślił. A zrobił to z pewnością. Nic by nie zyskał, gdyby miał pana zabić. Żywy jest pan dla niego cenniejszy. Więcej zyska, przeciągając kogoś takiego jak pan na swoją stronę.

– Pan wybaczy, panie komisarzu – odpowiada dziennikarz pewny siebie – jestem młody, ale to nie mój pierwszy reportaż. Rozmawiałem już nie raz z różnymi ludźmi. Z kryminalistami także.

– To świetnie. Sęk w tym, że to nie jest typowy kryminalista – rzuca glina enigmatycznie. – No dobrze – zmienia temat po raz kolejny – więc co pan o nim pomyślał, przeglądając to jego wiekopomne dzieło?

– Świetnie operuje słowem. Jako dziennikarz doskonale to widzę.

– Tak? Co jeszcze?

– Ma ogromną wyobraźnię i jest świetnym obserwatorem. Sądzę, że jako pisarz mógłby wiele osiągnąć.

– Nie tylko jako pisarz. Skurwiel jest szalenie inteligentny. Badaliśmy go na wariografie. Proszę sobie wyobrazić, że prawie potrafił oszukać to urządzenie.

– Czy to coś niezwykłego?

– Czy ja wiem, w zasadzie nie. – Glina pozwala sobie na bezpardonową ironię. – Mniej więcej dla połowy procenta populacji. Jeden na dwustu to potrafi.

– Mierzyliście mu iloraz?

– Jasne.

– I jaki osiągnął wynik?

– A jak pan myśli?

– W granicach stu sześćdziesięciu?

– Niewiele się pan pomylił. Dokładnie o dwadzieścia pięć punktów.

– Sto trzydzieści pięć – dziwi się dziennikarz – to wynik wysoki, ale nie taki szczególny.

– Zgadza się. Tyle że nasz pisarz ma sto osiemdziesiąt pięć.

Dziennikarz spogląda na gaszącego niedopałek policjanta. Takiej odpowiedzi się nie spodziewał. Przez chwilę czuje satysfakcję, że to jemu stary przydzielił „reportaż o pisarzu oskarżonym o zabójstwo opisane w swojej powieści” – jak usłyszał dzień wcześniej w gabinecie naczelnego. Zaczyna się robić coraz ciekawiej – myśli.

– No tak – przyznaje po chwili – nic dziwnego, że potrafił coś takiego napisać. Jednak, panie komisarzu,

nie mam najmniejszych wątpliwości: to oryginalna książka.

– Oryginalna? Czy ja wiem... No dobra – przyznaje z niechęcią – tego nie można jej odmówić.

– I wyjątkowa. Rzadko przecież książki bywają dowodem w sprawie o zbrodnię, prawda?

– I tu akurat się pan myli. *Koma* nigdy dowodem nie była.

– Tak powszechnie się sądzi.

– Owszem. Tak powszechnie się sądzi – powtarza z sarkazmem policjant – ponieważ to wy, dziennikarze, dopisaliście ostatni jej rozdział w gazetach i telewizorach. Ale prawda jest zupełnie inna.

– I dlatego chciałem z panem porozmawiać.

– Co chce pan przez to powiedzieć?

– Chcę znać prawdę. Chcę wiedzieć, jak było w rzeczywistości. To, jak było z książką.

– To nie takie proste – zaczyna glina. – Książka była tylko punktem wyjścia. Fakt, początkowo przypuszczaliśmy, że będzie dowodem. Prokurator przedłożył ją nawet jako poszlakę. Ale ostatecznie stało się zupełnie inaczej. Sąd już przy pierwszej sprawie odrzucił ją. Dowody były zupełnie inne.

– Zamieniam się w słuch.

2.

Dariusz Laba jest przeciętnym mężczyzną około trzydziestki. Tamtego dnia, kiedy spotykają się w odosobnionej celi po raz pierwszy, w oczach dziennikarza niczym się nie wyróżnia. Prawie niczym. Bo chłopaka uderza to, że jak na więzienne warunki osadzony ubrany jest elegancko i schludnie. Sprawia tym nieco upiorne wrażenie – sztywny inteligent w pedantycznie wyprasowanym pasiaku.

– Dzień dobry – zaczyna. – Mam zgodę na kilka widzeń z panem. Pracuję nad reportażem o panu. Chciałbym...

- Czy ma pan legitymację prasową?
- Mam.
- Czy mogę ją zobaczyć?
- Oczywiście.

Laba przez chwilę skrupulatnie mierzy dziennikarza. Chłopak z trudem wytrzymuje jasnoblękitne, wyjątkowo zimne spojrzenie. Cyniczne i niewzruszone. Więzień zerka na legitymację tylko ułamek sekundy. Chwilę później tę samą, kamienną twarz zdobi uprzejmy uśmiech.

- Pracuje pan od niedawna, prawda? – rzuca, mrużąc prawym okiem.
- Faktycznie.
- Jagodnikow przysłał tu pana?
- Nie. Ale pytał o pana.
- Więc już pan z nim rozmawiał.

– Owszem.

– To dobrze. Cieszę się, że pan przyszedł. Sprawia pan wrażenie porządnego człowieka. Opowiem panu z przyjemnością o wszystkim, o co pan zapyta, i to ze szczegółami. Jeśli, naturalnie, będzie pan miał ochotę do końca mnie wysłuchać.

Dziennikarz, włączając magnetofon, czuje, że ma dłonie od wewnątrz pokryte potem. Wzdłuż kręgosłupa, niczym echo słów Laby, przebiega go nieprzyjemny dreszcz. Siłąc się na uśmiech, odpowiada, aby zmniejszyć napięcie.

– Oczywiście, po to tutaj przyszedłem.

– Doskonale.

– Jestem już, panie Laba, gotów. Możemy zaczynać?

– Jasne.

– Mogę zrobić zdjęcie?

– Nie mam nic przeciwko.

Dziennikarz celuje obiektywem w rozmówcę, ustawia ostrość. Migawka aparatu strzela kilka razy, chłopak odkłada aparat i zachęca:

– Proszę więc opowiedzieć o wszystkim od początku.

– Mieszkalem wtedy u rodziców – mówi morderca po chwili zastanowienia. – Wyszedłem do apteki po lekarstwa dla nich. We wrześniu wieczory są jeszcze ciepłe, więc stałem tylko w klapkach, krótkich spodenkach i T-shircie. Nagle ktoś zarzucił mi worek

na głowę – mówi spokojnie i bardzo wyraźnie – uderzył w brzuch i powalił na trotuar.

– Co pan pomyślał?

– Że napadli mnie skinheadzi.

– Dlaczego oni?

– Nie wiem, pewnie podświadomie wtedy się ich bałem. Zresztą co może sensownego przyjąć człowiekowi do głowy w takiej chwili? Na dodatek gdy kopią w brzuch?

– Co było dalej?

– Wykręcili mi ręce, skuli kajdankami i wrzucili do samochodu jak worek. Wtedy już wiedziałem, że to nie skini.

– Skąd?

– Podслуchałem, jak jeden z nich rozmawia przez telefon.

– Co pan słyszał?

– Powiedział: „Szefie, mamy skurwysyna. Żyje jeszcze”.

– Co było potem?

– Nie miałem pojęcia, o co chodzi ani kim są ci ludzie. Wiedziałem tylko, że działają na czyjeś zlecenie. Słyszałem, że jest jakiś szef. Czulem, że gdzieś mnie wiozą, okazało się, że do lasu. Tam grożono mi śmiercią i aresztem. Byłem pewny, że to jakaś cholerna pomyłka, jakieś totalnie nieporozumienie.

– Nie wiedział pan, że pana aresztowano?

– Nie! Absolutnie.

– A kiedy się pan o tym dowiedział?

– Dopiero na komendzie. Po kilku godzinach. Powiedziano mi, że zostałem zatrzymany, i tyle. Zaczęły się przesłuchania. Krzyki: „Przyznaj się!” – opowiada pisarz, smutno wpatrując się w dziennikarza znad drucianych oprawek. „My wszystko już wiemy, nureczku, będziesz teraz w szambie nurkował”.

– Nureczku?

– Jestem od lat instruktorem nurkowania – wyjaśnia. Po chwili dodaje: – Byłem.

– Rozumiem – notuje dziennikarz. – Proszę mówić dalej.

Więzień waha się chwilę. Poprawia okulary. Ma czarne, bujne włosy i pociągłą twarz. Ciągłe nie robi dobrego wrażenia. Jest w nim coś niezwykłego, co każe chłopakowi nieustannie mieć się na baczności. Wiadać, że od więźnia bije głęboko skrywane, ale ogromne zmęczenie.

– Byłem przerażony – zaczyna po chwili. – Nigdy wcześniej nie miałem do czynienia z policją. Nawet mandatu za przekroczenie prędkości nie dostałem! Pan wierzy? – zwraca się wprost do dziennikarza.

– W tym sensie można powiedzieć, że jest pan szczęściarzem.

– Tak. Szczęściarzem! – powtarza kpiąco. – Tyle że od tamtej chwili moje życie wywróciło się do góry nogami. Takie to szczęście. I wie pan, co w tym wszystkim było najgorsze? Nie miałem pojęcia, z jakiego powodu!

– Nie powiedziano panu, o co jest pan oskarżony?

– Nie – odpowiada z przejęciem. – I o to chodzi. Właśnie o to chodzi! Nie wiedziałem. Pytałem: „Ludzie, dlaczego? Dlaczego?” – powtarza, unosząc ciemne brwi. „O co wam chodzi? Za co mnie zatrzymaliście?”.

– I co powiedzieli?

– „Za to, że jesteś jedyny w swoim rodzaju” – odpowiada, z niedowierzaniem kiwając głową, tak jakby to, że rozmawiają teraz w zakładzie karnym, nie było prawdą. Jakby było śpiączką, z której zaraz się obudzą i wrócą do życia. Ale to nie był sen. To naprawdę się stało.

3.

– To był koniec jesieni dwutysięcznego roku – odpowiada Jagodnikow bez namysłu.

Brzuch wylewa się glinie przez pasek od spodni, ale widać, że pamięć ma doskonałą. Czerwona twarz sprawia, że łysy, niepozorny i na pierwszy rzut oka łagodny człowieczek zupełnie nie wygląda na bylego oficera Wydziału Zabójstw Dolnośląskiej Komendy Wojewódzkiej.

– Dokładnie pamiętam ten dzień. Bez mrozu, ale ciągle mżawka albo wiatr. Kiedy go znaleźliśmy, już nie padało, ale dalej był ziąb jak cholera. Błoto jak w świńskim chlewie – wspomina. – Potem musiałem łykać tabletki na przeziębienie. Zima, dokładnie gru-

dzień. Tyle że dla tamtego wszystko skończyło się w listopadzie. Prawie o miesiąc wcześniej.

– Tamtego?

– Dla ofiary – prostuje glina.

– Jak odkryliście zwłoki?

– Dostaliśmy wezwanie nad Odrę. Wioska nazywała się Chobienia. Wędkarze zauważyli ciało przy brzegu. Już wtedy wiedziałem, że to jeden wielki syf.

– W jakim sensie?

– Dziś jestem na emeryturze. Wtedy miałem prawie dwadzieścia pięć lat służby. Większość przerobiłem w dochodzeniówce, a i tak czegoś podobnego nie widziałem. Nigdy.

– Wiem, że ofiara była naga – dodaje dziennikarz.

– E tam! Naga. To bzdura! Facet miał slipki, koszulkę i bluzę.

– Ale butów nie miał?

– No właśnie, nie miał. Ale naszą uwagę zwróciło też co innego.

– Co?

– Był związany, ale w niecodzienny sposób.

– W gazetach nazwano to nietypową kołyską?

– Tak to nazwaliśmy, a wy, dziennikarze, jak zrobiło się o tym głośno, powtarzaliście to jak papugi – mówi z niesmakiem.

– Widać nie darzy szacunkiem przedstawicieli dziennikarskiej profesji. Jak większość policjantów. A już szczególnie ci z dochodzeniówki. Redaktor wie o

tym, ale mało go to obchodzi. Potrzebuje gliny, żeby zrobić dobry reportaż o zbrodni. I tyle.

– O co chodzi z tą nietypową kołyską?

– Wiąże się delikwenta jednym kawałkiem liny – wyjaśnia glina, demonstrując na sobie. – Kostki u nóg trzeba związać z nadgarstkami. Z tyłu, za plecami...

– ...a drugi koniec liny – podchwytuje dziennikarz – z szyją?

– Właśnie! Związany, prostując się, będzie się dusił.

– Rozumiem.

– Jak na gimnastyce – kołyska. Było w tym coś poniżającego.

– Poniżającego?

– Niech pan pomyśli. Jak się chce kogoś załatwić, to najlepsza jest kulka w łeb. Jak kłamki brakuje, to nóż w żebra, ewentualnie – przepraszam za słowo – wpierdol, aż gość zejdzie. Nikogo się nie topi. A jeśli już, to nie tak związanego. Zgodzi się pan, prawda?

– Faktycznie.

– No właśnie. A tutaj mieliśmy ofiarę zabita jakby przy okazji.

– O czym pan pomyślał, widząc ofiarę?

– Że mordercy najbardziej zależało na upokorzeniu tego mężczyzny. Ktoś, kto to zrobił, musiał tego faceta naprawdę mocno nienawidzić.

– Więc zemsta?

– Widzę, że nie jest pan głupi. Zemsta w ogóle jest jednym z najczęstszych motywów zbrodni.

– Myślałem, że ludzie najczęściej mordują dla pieniędzy.

– Ludzie mordują generalnie z czterech powodów – ucina policjant – z zemsty albo pieniędzy.

– To dwa są przecież...

– Pieniądze to władza. Zemsta to baba. Są cztery?

4.

– Znała pani Krystiana Jankowskiego?

– Znałam – odpowiada zdawkowo kobieta.

Julia, była żona oskarżonego, jest przed czterdziestką. Dla dziennikarza w wieku niespełna dwudziestu sześciu lat w ogóle nie jest atrakcyjna. Na dodatek ma zniszczoną twarz, wygląda na starszą.

– A coś więcej?

Wydaje się, że wolalaby nie wracać do tamtej sprawy. Dziennikarz za chwilę ma się dowiedzieć, co jest prawdziwym tego powodem.

– To nie takie proste.

– Zdaję sobie sprawę. Ale proszę spróbować – zachęca.

– Muszę więc wrócić do czasów, zanim to wszystko się wydarzyło. Inaczej niczego pan nie zrozumie.

– Chętnie posłucham.

– Darka, to znaczy mojego byłego męża – poprawia się – poznałam jeszcze na studiach. Prawda jest taka, że wszystkie kobiety zwracały na niego uwagę, mimo że chudy on taki, mizerny. Ledwie metr siedem-

dziesiąt wzrostu. A jednak wszystkie się za nim oglądałyśmy jak głupie. Wiem, że to dziwne. Sama nie potrafię tego zrozumieć. W ogólniaku nazywano go nawet Amor. On jednak interesował się tylko książkami.

– A kobiety?

– Dziwny był od samego początku. Zwracał uwagę tylko na szare, niepozorne myszki. I zawsze starsze od niego.

– A pani?

– Darek jest dwa lata młodszy.

– Rozumiem, proszę mówić.

Kobieta nabiera powietrza w płuca. Unosi delikatnie ramiona, jakby przyjmując na barki niewidzialny ciężar wskrzeszanych w pamięci wydarzeń.

– Przez pierwsze lata studiów zajmował się tylko Frommem, Nietzschem i Arystotelesem. Całe noce śleczął nad ich dziełami.

– Studiował filozofię, tak?

– Tak. – Kobieta znów się zamyśla. – Ale na trzecim roku wszystko się zmieniło.

– To znaczy?

– Książki poszły w ką. Rzucił się w wir zabawy. Wtedy też wyszłam za niego.

– Poznaliście się na studiach?

– Nie. Znałam go już wcześniej. Poznaliśmy się, kiedy uczył się jeszcze w liceum, w klasie maturalnej. Byłam wtedy studentką na praktyce w jego klasie.

– W jakim mieście?

– W Legnicy. Studiowałam we Wrocławiu, ale praktykę zrobiłam w swoim rodzinnym mieście. Kiedy Dariusz po maturze przyjechał do Wrocławia, nie miałam wątpliwości, że czeka go kariera akademicka.

– Skąd ta pewność?

– Wszyscy tak uważali. Zresztą – kobieta macha ręką – to było oczywiste. Zawsze miał same piątki. Nic dziwnego, że poszedł na uniwersytet.

– Ale kariery akademickiej mąż nie zrobił?

– Były mąż – poprawia kobieta. – Nie zrobił – przyznaje. – Ale pewnie tylko dlatego, że to go kompletnie nie interesowało. Wolał zarabiać pieniądze. Dlatego założył firmę.

– Jaką?

– Właściwie to firmy były dwie. Pierwsza, sprzątająca biura. Ten interes nie wypalił. Darek to szalenie inteligentny facet, to mi się w nim podobało, ale nie miał ręki do interesów – wspomina kobieta, jakby mówiła o nieboszczyku. – Pierwsza branża nie wypaliła, więc wziął się za agencję reklamową.

– Agencja też padła?

– Tak, ale dopiero po naszym rozwodzie.

– Jak do niego doszło?

– Przez jego zazdrość. Wie pan, na początku nawet mi to schlebiało. Śmiałam się, kiedy pól żartem, pól serio wymyślał absurdalnych kochanków. Z czasem zaczęło mnie to jednak męczyć. To przestały być żarty. Jego zazdrość zaczęła mnie doprowadzać do szału. Gdy mąż zaczął pić, zaczęły się kłótnie, awantury.

Aż doszło do tego, że mnie uderzył. Dowiedziałam się też, że sam nie był w porządku wobec mnie.

– Miał romans?

– Romans?! Żeby tylko! Zdradzał mnie przy każdej okazji. Bez wyrzutów sumienia i bez skrywania się z tym. Prowadził życie jak kawaler. Noce spędzone w dyskotekach albo nie wiadomo gdzie i powroty nad ranem w stanie kompletnego pijaństwa. Czasem nie było go kilka dni. A jak mówiłam, miał powodzenie. Więc co mogłam myśleć?

– Rozumiem.

– Kiedy mnie uderzył, nie wytrzymałam. Nie mogłam tego znieść.

– Wezwwała pani policję?

– Nie o to chodzi. Policję wezwałam, zgadza się, ale dopiero później. Tamtej nocy, kiedy pierwszy raz mnie uderzył i pchnął na meble, podjęłam decyzję. Zabrałam chłopca, spakowałam się i przeprowadziłam do mamy.

– Macie syna?

– Tak, ale proszę o niego nie pytać. – Kobieta twardo stawia warunek. – On nie jest niczemu winien.

– Oczywiście, ma pani moje słowo.

– Dziękuję. Wracając do małżeństwa – to, co zrobiłam, niewiele dało. Może poza tym, że upewniłam się co do Darka.

– W jakim sensie?

– Że się nie zmieni.

– Wniosła pani o rozwód?

– Tak. Myślałam o tym od roku. Darek mnie natchodził, jego zazdrość nie była już chorobliwa, to przerodziło się w paranoję, w jakąś chorą obsesję. Był naprawdę nie do zniesienia. A potem poznałam Krystiana.

5.

Dziennikarz, przywitawszy się, odniósł wrażenie, że kobieta spogląda na niego z zainteresowaniem. Jest zadbana, dość atrakcyjna i widać, że lubi zabawę.

– Proszę powiedzieć parę słów o sobie – prosi kobietę.

– Zgodziłam się na rozmowę – zaczyna jakby z obawą – tylko dlatego, że obiecał pan anonimowość. Mogę na nią liczyć?

– Oczywiście. Gwarantuję to pani, ale muszę wiedzieć, co panią łączy z tą sprawą.

– Dobrze, rozumiem. – Kiwa głową. – Jestem przyjaciółką Julii, to znaczy żony Darka – zaczyna. – Stąd znam go doskonale. Poza tym byłam jego księgową.

– Podobno był bardzo zazdrosny?

– Zazdrosny? Nie, to nieodpowiednie słowo, proszę pana. Ten facet miał obsesję. Pierdolca. I wydaje mi się, że to właśnie jego zazdrość była powodem całej tragedii.

– Mówi pani o morderstwie Krystiana Jankowskiego?

– No a o czym mam mówić? Jasne! Ale nie tylko. Zazdrość przyczyniła się tego do rozpadu ich małżeństwa. No i jego niewierność.

– A czy żona dawała panu Labie powody?

– Powody do zazdrości?

– Tak.

– Raczej nie – waha się księgowa. – Może dopiero kiedy założyła sprawę. Małżeństwo przecież już się nie liczyło. Nic dziwnego, że Julka poczuła się jak rozwódka. Uważam, że miała do tego prawo.

– Prawo do spotkań na boku?

– Dlaczego na boku? Mówię przecież: o rozwód wniosła. Nie dostała, ale wniosła. Wystarczy. Ja bym nie miała skrupułów i umawiała się, ile wlezie.

– Rozumiem.

– A! – Kobieta przypomina sobie coś jeszcze. – I wyprowadziła się przecież. Nie mieszkali razem. Wtedy spotkała się jeden raz z innym mężczyzną. Dariusz potem go za to zabił.

– Zabił? Jest pani pewna?

– Dowodów nie mam, nie widziałam. Nikt nie widział. I nikt dowodów nie ma – dodaje pośpiesznie, jakby na potwierdzenie. – Ale wszystko na to wskazuje.

– Wszystko?

– No! Nawet ta jego pokręcona książka. I tak zresztą orzekł sąd, prawda?

– Faktycznie.

– No właśnie. Wystarczy. A jak się popatrzy z boku, to cała reszta też przecież pasuje.

– Co dokładnie? Proszę o tym powiedzieć.

– Ich małżeństwo rozpadło się ostatecznie na rok przed morderstwem. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku. Ale Darkowi to nie wystarczyło. Śledził kochanków Julki, wynajął prywatnego detektywa. Groził jej.

– Groził?

– Pisał e-maile w stylu: „Niech cię jebie każdy przybłęda, którego spotkasz” albo, ten dobrze pamiętam: „Kolejarz... Hm, ma hotele kolejowe, więc mogliście się pierdolić w tych brudnych klitkach. Mam prawo wiedzieć, kim jest ten gach, w czym jest lepszy ode mnie?”.

– Skąd pani o nich wie?

– Julka pokazywała mi te e-maile.

– Rozumiem.

– To jeszcze nie koniec. Dariusz sam się pogrążył. Wykrzyczał na imprezie sylwestrowej, że zabił już kiedyś jednego jej kochanka i to samo zrobi z następnymi.

– Była pani tego świadkiem?

– Ja nie. Opiekunka ich dziecka.

– To skąd pani o tym wie?

– Słyszałam, jak opiekunka zeznawała to w sądzie.

– Rozumiem. Proszę powiedzieć: jak pani Laba poznała Krystiana?

– Normalnie. W pubie. To było kilka miesięcy przed zabójstwem. Sama ją do tego pubu zaciągnęłam. Chciałam, aby koleżanka się rozerwała. Wiadomo, rozwód to nic fajnego. A potem zaczęli się spotykać w hotelu Prezydent, ale ich znajomość nagle się urwała. Romansu nie było.

– Wie pani dlaczego?

– Jasne – odpowiada bez wahania. – Nie sprawdził się.

– Nie sprawdził się? W jakim sensie?

– No, wie pan – mówi z ironicznym uśmiechem – jako mężczyzna.

6.

– Jak go pani poznała?

– To było w pubie Szalony Koń. We Wrocławiu. Wyciągnęła mnie tam przyjaciółka, księgowa Darka. To było latem tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku.

– Proszę opisać pana Jankowskiego.

– Pomyślałam, że jest bardzo atrakcyjnym typem. Wysoki, ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu, zbudowany jak prawdziwy mężczyzna. Kawał chłopca. Twarz pokryta gęstym, czarnym zarostem, a do tego długie, rozpuszczone włosy. Taki, wie pan – kobieta szuka odpowiedniego słowa – szorstki.

– Przystojniak?

– Tak, oczywiście. I do tego czarujący. Stałam przy barze, nagle podszedł i zapytał: „I gdzie te frytki?”, udając, że bierze mnie za kelnerkę, chociaż wyczułam oczywisty i nieukrywany podryw. Jego też to bawiło. Widziałam, że Krystianowi nie brakuje niczego w portfelu. Może to śmieszne, ale przypominał Thomasa Andersa.

– Z Modern Talking?

– Tak. Jako małolata kochałam się w nich. Wieszalałam plakaty ze „Świata Młodych” i zasluchiwałam się w ich piosenkach. Krystian swoim pojawieniem się przypomniał mi odległe czasy. Poczulałam się znów jak wolna kobieta.

– Czym się pan Jankowski zajmował?

– Miał agencję reklamową.

– Podobna branża jak w państwa firmie.

– Dariusza firmie.

– Rozumiem. Tak czy inaczej postanowiła się pani umówić z panem Jankowskim?

– Właściwie Darek jest sam sobie winny.

– Jak to?

– Kiedy dowiedział się, że byłam w Szalonym Koni, zrobił kolejną awanturę. Wtedy pomyślałam: a co mi zależy? Postanowiłam zadzwonić do Krystka. Umówiliśmy się. Zjedliśmy kolację, potem pojechaliśmy do jego biura. Spotkanie skończyło się w hotelu Prezydent, ale – szybko dodaje – do niczego nie doszło.

– Dlaczego?

– Przyznał, że jest żonaty, choć nie układa mu się z żoną. Już dwukrotnie wyprowadzał się od niej, a ona dwa razy złożyła pozew o rozwód i wycofywała go. Dręczyła go, że nie rozwija firmy, nie inwestuje. Sama, zamiast się zająć domem i urodzić dziecko, była szefową dobrze prosperującej i to własnej spółki. Ale w ciążę zajść nie potrafiła. Potraktowałam tę sprawę honorowo. Jako że sama byłam zdradzana przez męża, nie chciałam takiego świństwa robić innej kobiecie. Natychmiast zerwałam znajomość. Więcej się nie spotkaliśmy. I dobrze, bo Krystian podobno zaczął zdradzać żonę ze swoją miłością z lat szkolnych. Tak czy inaczej mój mąż dowiedział się o tym spotkaniu. Przyszedł pijany do mieszkania matki. Awanturował się. Wiedziałam już, że Darek wie, jak wygląda Krystek, gdzie się spotkaliśmy. Znał nawet numer pokoju, do którego poszliśmy w hotelu.

– Śledził was?
– Wynajął detektywa.
– Skąd pani o tym wie?
– Przyznał się.
– Co powiedział?
– „Wiem, z kim się spotykasz, ździro. Przyznaj się, pieprzysz się z Jankowskim” i takie tam. „Wynająłem detektywa, żeby was śledził”.

– Rozumiem.
– Zadzwońłam po policję. Zanim przyjechali, Darka już nie było. Wrócił, jak odjechali, wtedy pobił

mnie i mamę. Zrobiłam obdukcję, zgłosiłam się na policję. Założyli mu Niebieską Kartę.

- Co to takiego?
- Teczka dla znęcających się nad swoją rodziną.

7.

- Na sekcji wyszło – ciągnie komisarz – że Janowski dostał też kilka razy nożem. Na szczęście, chociaż denat prawie nic nie miał przy sobie, nie było problemu z identyfikacją zwłok.

- Dlaczego?
- Bo duży był.
- Zgłoszono jego zaginięcie?

- Mało powiedziane. Żona, matka i przyjaciele przez miesiąc szukali go po całym Wrocławiu. Całe miasto oklejono plakatami ze zdjęciem i rysopisem. Matka poszła nawet do jasnowidza. Zeznała, że ten powiedział jej o krzyżu, który nad nią wisi.

- Niewesoła przepowiednia.

- To nie wszystko. Jasnowidz powiedział też, że syn jest gdzieś, gdzie jest zimno, ciemno i głęboko.

- To by się zgadzało – przyznaje dziennikarz. – Znaleźliście go przecież w Odrze.

- Tak.

- Wierzy pan, panie komisarzu, w jasnowidzenie?

- Kościół nie uznaje jasnowidzów. Ja też. Nie wierzę. Bardziej interesują mnie fakty. Tyle że prorocstwo po sekcji dziwnie pasowało.

- Dlaczego?
- Patolog stwierdził, że zanim Jankowskiego zamordowano, wcześniej przez około trzy dni go bito, głodzono, a dopiero potem wrzucono do wody.
- Umarł od zadanych ran czy się utopił?
- Tego nie dało się nam ustalić. Wiedzieliśmy, że zaginął trzynastego listopada, a zgon prawdopodobnie nastąpił między szesnastym a siedemnastym listopada.
- Rozumiem. Po sekcji wszczęliście dochodzenie?
- Tak, głównie przesłuchiwalismy świadków.
- I co udało się ustalić?
- Pracownica Jankowskiego zeznała, że w dniu zaginięcia ktoś zadzwonił i złożył zamówienie na tablice reklamowe. Około czwartej po południu w biurze pojawiło się dwóch mężczyzn. Szef z nimi wyszedł.
- Jednym z nich był Laba?
- Ułatwiłoby nam to sprawę – policjant zapala papierosa z uśmiechem – ale nie. Niestety.
- Więc kim byli ci ludzie?
- Nigdy tego nie ustaliliśmy.
- Czyli niewiele wiadomo.
- Nie do końca – zaprzecza Jagodnikow, wypuściwszy dym. – Dowiedzieliśmy się, że zanim Jankowski znikł, ktoś zadzwonił do jego matki, też w sprawie tablic. Matka odesłała rozmówcę do syna.
- Podając jego telefon?
- Tak. Jankowski tego dnia też do niej zadzwonił.
- Ostatni raz?
- Tak.

– Czyli dalej prawie nic.
– Otóż nie – Jankowski zostawił samochód przed biurem. Pojechał z rzekomymi kontrahentami, a jak zeznała pracownica, nigdy nie miał w zwyczaju tak robić. To wskazywało, że prawdopodobnie znał ludzi, z którymi wyszedł.

– Czy Laba znał Jankowskiego?
– Uparcie twierdził, że nie.
– No a jakieś inne dowody? Krew, odciski palców, DNA?

– Nic.
– Więc sprawę zamknęliście?
– Tak, ale nie od razu. Ostatnią szansą był dla nas Fajbusiewicz.

– Kto?
– Fajbusiewicz – powtarza policjant. – No, ten od „997”.

– A! „Magazyn Kryminalny 997”?
– Właśnie.
– Pomógł coś?
– Po emisji długo myśleliśmy, że program nic nie dał. To, że jednak nam pomógł, okazało się dopiero po latach.

– Co było dalej?
– Po programie, w maju dwa tysiące pierwszego roku, prokuratura umorzyła śledztwo.
– Niebywale. Zbrodnia doskonała?